

Mieczysław Godlewski

Wspomnienia więźnia łagrów Borowicze : wspomnienia te poświęcam pamięci Teodora Mytycha, żołnierza AK ps. "SOPLICA"

Rocznik Kolbuszowski 4, 113-141

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wspomnienia więźnia łagrów Borowicze
(wspomnienia te poświęcam pamięci Teodora Mytycha,
żołnierza AK ps. "SOPLICA")

Ostatni zapis w pamiętniku Teodora, to niedziela 29.X.1944 r. W tym czasie zaczął się już okres największego terroru w stosunku do żołnierzy AK. Nikt nie był pewny dnia ani godziny, codziennie nasilały się aresztowania kolegów. Budząc się rano, ciągle dowiadywałem się, że kilku z nas ubyło. Czekano się tylko, kto będzie następną ofiarą. Ostatni raz z Teodorem, będącym jeszcze na wolności, spotkałem się 3. XI. 1944 r. Rozmawialiśmy o zaistniałej sytuacji i namawiał mnie gorąco, żebym usunął się z Kolbuszowej gdzieś na wieś, a nawet do niego, gdzie pod okiem ojca Teodora, który był jeszcze na stanowisku starosty, będę bezpieczny. Przyznałem mu rację, ale jeszcze miałem wiele spraw do załatwienia, w związku z moją funkcją w AK i zamiast w Weryni, ukryłem się chwilowo u mojego dziadka w Kolbuszowej Dolnej.

W dniu 10.XI.1944 r. spotkałem przypadkowo siostrę Teodora - Krystynę, którą znałem z jej pracy na poczcie w centrali telefonicznej. Wiedziałem również, że należała do AK, a oprócz tego darzyłem ją sympatią. Już z daleka poznałem po niej, że coś złego się stało. Podchodząc do mnie zaczęła płakać, mówiąc przez łzy, że ojciec i brat Teodor, w nocy z 8-go na 9-go, zostali aresztowani przez UB. Rozeszliśmy się natychmiast, a Krystyna przy rozstaniu powiedziała mi, abym uciekał z Kolbuszowej, bo mnie to samo może spotkać.

Uświadomiłem sobie w tym momencie, że nasz świat, nasze ideały, marzenia o wolności, wszystko zaczęło się walić. Teraz już wiadomo było, że zaczęło się zniewolenie narodu polskiego, a bolszewicy zniszczą wszystko to, co wywalczyliśmy. Postanowiłem na razie pozostać u dziadka w Kolbuszowej Dolnej, ale robiło się coraz zimniej i musiałem udać się do domu po ciepłą bieliznę, na wypadek aresztowania.

Późnym wieczorem 12-go listopada, przyszedłem do domu. Mieszkaliśmy wtedy w magazynach Spółdzielni "Pług", gdyż Sowieci zajęli nam mieszkanie. Mama moja namówiła mnie, bym tę jedną noc przespał się po ludzku,

a nad ranem mnie obudzi i wyjdę z domu jeszcze po ciemku. Był to wielki błąd bo nagle w nocy, z głębokiego snu zbudziło mnie silne dobijanie się do drzwi i słowa: "otwierać natychmiast, urząd bezpieczeństwa". Na wpół śpiący otrzeźwiałem natychmiast z myślą, że wpadłem. Również rodzice i młodszy brat przerazili się bardzo. Ojciec mój pomyślał, że przyszli po niego - był bowiem legionistą, walczył w Pierwszej Kadrowej. Od chwili wejścia Sowieców, żył w ciągłym zagrożeniu zdając sobie sprawę co go czeka w razie aresztowania. Prócz tego należał do AK, a będąc dyrektorem Spółdzielni "Pług" zaopatrywał w produkty żywnościowe żołnierzy AK, szczególnie w czasie akcji "Burza", będących na zgrupowaniu w Porębach Kupieńskich. Również zatrudniał w spółdzielni ludzi, którzy musieli się chronić przed represjami okupanta. Ojciec mój jako legionista z czasów I wojny światowej, był ciężko ranny i nie był sprawny fizycznie i to może zaważyło, że pozostawiono go w spokoju.

Funkcjonariusze UB po wejściu do mieszkania przeprowadzili szczegółową rewizję, zabierając wiele rzeczy i książek. Jednym z nich był mój dobry znajomy niejaki - Dzyndra Stanisław - kolega z czasów okupacji, który niestety sporo wiedział o konspiracji i znał wielu jej członków. Jak się okazało, był tajnym agentem komunistów w czasie okupacji niemieckiej. Po wstąpieniu do UB przyczynił się do tego, że bardzo wielu akowców z obwodu kolbuszowskiego, zostało aresztowanych i wywiezionych do ZSRR. W UB awansował do stopnia pułkownika, ale niedługo cieszył się tymi zaszczytami, gdyż zmarł młodo na raka kręgosłupa.

Ubowcy kazali mi się szybko ubrać pytając gdzie mam broń. Na szczęście nie miałem jej w domu. Wyprowadzono mnie natychmiast, nie pozwalając pożegnać się z rodziną. Była godzina trzecia w nocy, gdy znalazłem się w piwnicy budynku UB. Od tej chwili przestano nas traktować jak ludzi. Stałiśmy się *rzeczą* niepotrzebną, którą należało jak najszybciej zniszczyć. Oprawcy nasi zapomnieli jednak, że my nadal jesteśmy ludźmi myślącymi, ludźmi, którzy będą się bronić, którzy będą mieli wolę przetrwania tego piekła.

Zamknięto mnie w jednej z piwnic budynku kolbuszowskiego UB. W piwnicy tej o wymiarach 2,5 x 1,5 m siedziało już kilku moich kolegów wspólnej niedoli. Okna piwnicy były bardzo szczelnie zabite, tak, że po zamknięciu drzwi, było przeraźliwie ciemno. Była to po prostu doskonała ciemnica. Chyba po kilku godzinach, bo straciłem zupełnie rachubę czasu, otworzyły się drzwi i wezwano mnie na przesłuchanie. Zaprowadzono mnie na pierwsze piętro, gdzie zrewidowano dokładnie zabierając pasek i szalik, następnie wepchnięto do jakiegoś pokoju, tak silnie oświetlonego lampą elektryczną, że oślepiło mnie to. Przy wejściu otrzymałem potężnego kopniaka, widocznie nie dość szybko wchodziłem. Wpadłem na środek pokoju. Tu znowu wepchnięto mnie na stołek. Siadłem z ulgą odczuwając jednak tego kopniaka, gdyż w piwnicy cały czas stało się, nie było na czym siedzieć, a posadzka była mokra.

Zaczął się przesłuchanie. Prowadził je oficer NKWD, a pisał jakiś porucznik UB. Po spisaniu personaliów, pierwsze pytanie to: "ty był w AK?", odpowiedziałem, że nie wiem co to jest AK. To wywołało natychmiastową reakcję. Enkawudzista doskoczył do mnie, wymierzył mi potężny cios w twarz i ryknął - "ot sukinsyn - kakoj ty Polak, ty faszysta kak nie znajesz co to AK". Następnie nastąpiła seria ciosów najpierw zakończonym kulka, która dotkliwie raniła ciało. Po tej serii, okrwawionego wypchnięto mnie za drzwi, skąd strażnik zaprowadził mnie do piwnicy. Tu moi koledzy zasypywali mnie pytaniami, co pytali i co ja powiedziałem. Okazało się, że to samo pytano ich. Rozmawiając cicho, doszliśmy do wniosku, że należy lepiej się przyznać, to może unikniemy bicia. Idąc znowu na przesłuchanie, a chyba był to już wieczór, spotkałem na schodach Teodora, który wracał z przesłuchania. Udaliśmy, że nie znamy się. Znajomość w tej sytuacji, byłaby dla nas obu bardzo zgubna. Teodor wyglądał strasznie, był bity, idąc słał się i strażnik podtrzymywał go. Postanowiłem przyznać się do AK. Może uniknę bicia. O, jak strasznie się myliłem? Rozpoczęło się od rutynowego pytania: "ty był w AK?" Odpowiedziałem: "tak". I wtedy zaczęło się. "Ot sukinsyn Polaczek, ty faszysta, ty chcesz faszystowskiego rządu". Potem nastąpiła seria przekleństw i pytań przeplatanych biciem. Musiałem podać swoje pseudo i kto był łącznikiem. Podałem nazwisko kolegi, który przypadkowo zginął w czasie akcji "Burza". Oberwałem za to solidnie, gdyż przesłuchujący uważał, że robię to celowo by nikogo nie sypnąć. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że muszę to wszystko wytrzymać, aby przerwać łańcuch wsypy. Po trzecim przesłuchaniu, które było bardzo ciężkie, mój prześladowca widocznie zrezygnował, uważając, że więcej nic się już nie dowie. Powiedział mi tylko, że pojedę tam, gdzie odechce mi się wszystkiego i "podochnę jak sobaka". Uświadomiłem sobie dokładnie, co mnie i moich kolegów czeka w najbliższym czasie. Pobyt w więzieniu śledczym kolbuszowskiego UB był koszmarem, ale co nas czekało, tego nikt nie mógł przewidzieć. Przez te cztery dni, karmiono nas stęchłymi sucharami i tylko dwa razy podano nam wodę.

Byłem świadkiem następującej sceny: jeden z moich współwięźniów nie mogąc wytrzymać strasznego pragnienia, zaczął walić w drzwi wołając ochrypłym głosem: "dajcie wody". Po pewnym czasie otworzyły się drzwi celi, ukazał się w nich ubowiec z rewolwerem w ręku, pytając, któremu tak strasznie chce się pić. W półmroku otwartych drzwi, widziałem jak strażnik kazał klęknąć temu co wystąpił, kazał mu otworzyć usta i po chwili zaczął mu sikać do ust, zanosząc się od śmiechu. Tego rodzaju metody znęcania się, pozwoliły władzy ludowej zaliczanie takiego oprawcy do kategorii kombatanta z szumnym wpisem: "walka o utrwalanie władzy ludowej".

W dniu 17.XI.1944 r. w godzinach rannych podstawiono dwa samochody ciężarowe pod drzwi UB i zaczął się załadunek więźniów. W samochodzie przykrytym szczelnie plandeką siedziało czterech Kałmuków z pepeszami gotowymi do strzału. Nas sadzano na gołej, metalowej podłodze,

jeden drugiemu między nogami. W samochodzie spotkałem kilku moich kolegów z konspiracji: Cassinę, Chodorowskiego, Kądziele, Skowrońskiego, kobiety: Januszewską, Dudzińską, Opalińską i innych. Teodora w tej grupie więźniów nie było, widocznie pojechał wcześniej, bo był aresztowany wraz z ojcem już ósmego listopada.

W czasie drogi, czasami uchyliła się plandeka pod wpływem wiatru i wtedy można było się zorientować dokąd nas wiozą. Już w Rzeszowie, gdy wjechaliśmy na szosę przemyską, wiadomo było, że jedziemy do Przemyśla. Już się ściemniało, gdy przyjechaliśmy do Bakończyc (bocznica kolejowa stacji Przemyśl). Był to obiekt wojskowy sprzed 39-go roku - stajnie po kawalerii polskiej. Byliśmy strasznie zmarznięci i sztywni po tym parogodzinnym siedzeniu bez ruchu. Po wyładowaniu nas w czasie, w ktc rym każdy otrzymał kilka szturchańców, zostaliśmy wpędzeni do jednej i-stajen, która już była pełna ludzi. Zaczęły się poszukiwania kolegów znajomych. Jak się okazało, z terenu obwodu AK Kolbuszowa, zostało wtedy aresztowanych ponad trzysta osób. Kobiety, które jechały z nami, zostały umieszczone w innym budynku. Stajnia ta miała około 80-ciu metrów długości. Na stanowiskach końskich leżała słoma, a właściwie jej resztki, na której spaliśmy. W rogach stajni, stały cztery duże kubły, służące do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Tłok i fetor był niesamowity. W chwili naszego przyjazdu, było nas około 800. Każdy poszukiwał swoich najbliższych i kolegów. Wśród nawoływań i krzyków, wreszcie znalazłem kolbuszowiaków, którzy przyjechali tu dwa dni wcześniej. Znalazłem Teodor: wraz z jego ojcem. Tosiek był zrezygnowany tak jak i ja. Ojciec Tośkc natomiast pocieszał nas, jak tylko mógł. Był on przecież legionistą, brał udział w wojnie bolszewicko - polskiej i takie warunki nie były dla niego nowiną. Rozmawialiśmy po cichu, gdyż jak się potem okazało, byli między więźniami i tacy, którzy chcąc sobie ulżyć, zaczęli donosić. Ale to na nic im się nie przydało. Siedzieliśmy z Tośkiem w głębi stajni na żłobie końskim i patrzyliśmy na tych sponiewieranych ludzi. Zachowanie ich było bardzo różne. Krzyki, nawoływania, kłótnie, nieraz nie wiadomo z jakiego powodu, płacz, stanowiły jeden zgiełk. Zachowanie spokoju w takiej sytuacji, jest po prostu niemożliwe i ludzie bardzo różnie reagują. Wśród nas był różny element. Około 20%, to byli ludzie zabrani nieraz z ulicy, nie mający pojęcia o konspiracji i niejednokrotnie mający pretensje do nas, że to my jesteśmy powodem ich nieszczęścia. Nieraz po cudownym powrocie do Kraju, a szczególnie dziś, gdy piszę te wspomnienia, dochodzę do wniosku, że człowiek, który nie przeżył sam tego koszmaru, nie bardzo chce uwierzyć, gdy my opowiadamy o tych przeżyciach. To w nas ciągle tkwi i chyba nigdy nie przestaniemy o nich myśleć. Chyba to jest prawda, że nikt z nas, który tam był, nie jest dziś normalny.

Ktoś z kolegów powiedział mi, żebym poszukał sobie jakąś puszkę, bo jak zaczną dawać zupę, to mogę jej nie dostać, gdyż nie będę miał w co jej nalać. Znalazł się jednak taki, który miał kilka puszek i handlował nimi

- trudno - konieczność zmusiła mnie do zakupu. Trzeba jednak stwierdzić, że Polacy to bardzo przedsiębiorczy naród i w każdej sytuacji radzą sobie, tylko że nieraz kosztem drugich. W tej sytuacji, puszka taka kosztowała pół porcji chleba, ale skąd go wziąć? Wtedy Tosiek powiedział mi, żeby się nie martwić, będziemy jedli z jednej puszki, najpierw on, a jak zje, to ja podejść do kotła na końcu i dostanę tę wodę, która nazywała się zupą i kromkę chleba lub suchara. Rano otrzymaliśmy trochę śmierdzącej kawy, jeżeli to była w ogóle kawa i kromkę chleba.

Na drugi dzień przed południem, do stajni weszło nagle kilkunastu skośnookich enkawudzistów, spędzili nas w jeden koniec i zaczęła się rewizja. Dwóch żołdaków brało każdego z nas i zaczęło rozbierać, dwóch następnych obmacywało dokładnie każdy skrawek ubrania, a jeżeli coś wymacali zaszytego lub ukrytego za podszewką, natychmiast rozdzierali lub rozcinali. Po takiej rewizji, ubrania nasze nadawały się tylko na szmaty. Druga dwójka oprawców, brała zupełnie nagiego delikwenta i zaczynała się druga część rewizji. Jeden w ordynarny sposób otwierał rewidowanemu usta, zaś drugi patrzył dokładnie czy nie ma czasem złotej korony lub zębów. Gdy były, lewą ręką trzymając dolną szczękę, prawą wyrywał złote części zębów, a jeżeli nie dał rady ręką, robił to obcęgami. Druga część operacji była o wiele gorsza. Wsadzano głowę między nogi żołdata, a drugi wkładał palce do kieszki odbytovej, szukając czy czasem nie schowano tam złotej obrączki, bo i takie wypadki były, że ktoś tak chował obrączki. Było też kilka wypadków, że połknięto obrączkę. To już działał wywiad NKWD. Jak już wspomniałem, byli tacy, którzy donosili. Odbywało się to tak: brano podejrzanego, sadzano go na wiadrze i pilnowano aż do oddania kału. Trwało to nieraz bardzo długo. Następnie strażnik szukał, gdy zdarzyło się, że nic nie znalazł, to delikwent dostawał porządne lanie. Ja i moi koledzy przeżyliśmy w Bakończycach dwie takie rewizje. Przez te sześć dni pobytu w Bakończycach, prawie codziennie przyjeżdżali nowi koledzy niedoli, z różnych stron i miejscowości. W przeważającej części, byli tu akowcy z terenu południowej Polski, ale również spotkałem kolegów z lubelskiego. Kolbuszowiacy trzymali się razem. Spaliśmy też razem. Głód, zimno i insekty, to były najważniejsze problemy. Tosiek bardzo odczuwał skutki śledztwa, był słabszy fizycznie aniżeli ja, ale lepiej znosił pragnienie głodu. Zaczął nawet dzielić się swoją porcją chleba z bardziej głodnymi. Ja nieraz tłumaczyłem mu, żeby tego nie robił, bo zaczął go wykorzystywać, a przecież musimy przeżyć i wrócić.

Mnie strasznie dokuczały rany na plecach po kolbuszowskich przesłuchaniach. Brud i insekty spowodowały jątrzenie się ran, koszula przywierała do pleców i każdy ruch powodował ból. Dużo gorzej było znieść pragnienie głodu. Organizm nasz nie był jeszcze przyzwyczajony, żołądek nie skurczył się, i dlatego tak ciężko było znieść pragnienie głodu, a na dodatek szczególnie w nocy, człowiek budził się potwornie głodny.

Nadszedł dzień 23 listopada. W godzinach wieczornych otworzyły się

drzwi stajni, a w nich ukazał się tył samochodu ciężarowego. Wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że będziemy jechać w nieznane. Nie pamiętam już dziś, czy przy ładowaniu nas do samochodów, wywoływano po nazwisku, czy tylko nas liczono. W tym całym bałaganie, popychaniu przez żołdaków i krzykach "bystrej, bystrej" pogubiliśmy się. Już będąc w wagonie, okazało się, że Tosiek wraz z ojcem, zostali załadowani do innego wagonu. Po przywiezieniu na rampę kolejową w Bakończycach, załadowano nas do krytych wagonów bydłowych po 80 osób. Wagon zamknięto, zaplombowano i czekaliśmy na odjazd. W wagonie było już dobrze ciemno. Zaczęliśmy się pytać jeden drugiego jak się nazywa. Znalazło się kilku kolbuszowiaków: Kruczek, Chodorowski, Burkiewicz, Skowrońscy Władysław i Jan, Mytych Edek. Oprócz nas, na środku stał mały piecyk żelazny, a obok kupka miazgi węglowej - może wiaderko. W jednym rogu wagonu był zainstalowany kubek połączony z dziurą w podłodze, - służył do potrzeb fizjologicznych. Jak potem wyliczyliśmy w czasie postojów, transport liczył około 20-tu wagonów. Niebawem po zakończeniu załadunku, transport ruszył. Teraz to już wiedzieliśmy, gdzie jedziemy - na Sybir. O spaniu nie było mowy, głód i zimno nie pozwalały zasnąć na twardej podłodze. Dziurawy wagon, potęgował jeszcze bardziej zimno. Żelazne części wagonu, a szczególnie śruby pokrywały się szronem. Męczyło nas potworne pragnienie. Zaczęliśmy lizać te właśnie śruby, to trochę pomagało. Zmęczenie brało górę. Siadając, opieraliśmy się o siebie, tworząc coś na kształt koła. Ci, co byli na zewnątrz tego kręgu, po pewnym czasie, gdy zmarzli, przechodzili do środka, a ci z wewnątrz, przechodzili na zewnątrz tego kręgu. Wszystko tak, jak w kłębie zimujących pszczoł. Chyba było już po północy, jak nas zerwały na nogi strzały z broni ręcznej - maszynowej. Początkowo myśleliśmy, że może jakaś partyzantka zatrzymała transport, chcąc nas odbić, ale to był absurd, przecież byliśmy już na terenie ZSRR. Jak się potem okazało, w sąsiednim wagonie koledzy pomyśleli o ucieczce. W czasie załadunku naszego transportu, i po jego zaplombowaniu, kolejarze jakimś cudem, wsunęli do tego właśnie wagonu dwa żelazne łomy. Te dwa łomy pozwoliły im wyrwać parę desek, które podobno już się ruszały, i otworzyli drzwi wagonu. Zaczęto skakać w biegu z pociągu. Pierwszym ze skaczących, był kolega Jan Skrzypek ze wsi Poręby Kupieńskie, a drugim Miazga z tej samej wsi. Obaj byli żołnierzami kampanii wrześniowej. Miazga został trafiony pociskiem w rękę. Tylko ci dwaj uciekli. Pozostałym, którzy skakali, już nie udało się zbiec. Podobno kilku zostało rannych i prawdopodobnie dwóch zabito. Dokładnych szczegółów tej ucieczki, nie dało się ustalić. Sam kolega Skrzypek, który żyje jeszcze w Węgorzewie, opisuje ten moment ucieczki w gazecie "Wiadomości Węgorzewskie" z dnia 4.12.1992 r. Kolega Miazga, który już nie żyje, musiał się długo ukrywać i nigdy nie chciał o tym mówić. Obaj byli żołnierzami AK Obwodu Kolbuszowa.

Po tej ucieczce, cały transport zatrzymał się i zaczęło się piekło. Słyszeliśmy

w ciszy nocnej, jak po kolei otwierano wagon po wagonie i wśród wrzasków i przekleństw enkawudzistów, sprawdzano każdy wagon. Odbywało się to tak: do wagonu wchodziło dwóch oprawców a dwóch stało przy drzwiach z pepeszami gotowymi do strzału. Ci dwaj w wagonie mieli w ręku pałki. Zgoniono nas na jedną stronę wagonu i zaczynało się liczenie. Każdy z nas musiał przebiec na drugą stronę wagonu, między dwoma enkawudzistami i musiał otrzymać dwie pały, najczęściej w głowę. Jeżeli jakimś cudem udało mu się uniknąć ciosu, to liczenie odbywało się od nowa. Jeżeli ktoś był sprytniejszy i schylił się, to otrzymywał ciosy w plecy lub szyję. Po ciosach w głowę zwykle padał na podłogę i koledzy już przeliczeni musieli go podnosić. Takie liczenie odbywało się przez kilka dni rano i wieczorem.

Już po przyjeździe do obozu dowiedziałem się, że na drugi dzień rano po ucieczce, która miała miejsce w Sądowej Wiszni, jadący transport zatrzymał się przy pracujących na torach robotnikach. Z transportu wyszło kilku enkawudzistów i zabrali siłą tylu robotników, ilu uciekło i zabito w czasie ucieczki. Chodziło o to, aby zgadzała się ilość "wycieczkowiczów". W ogóle metody NKWD były zadziwiająco proste, ale okrutne w skutkach.

Przejechaliśmy Lwów i powoli transport zbliżał się do granic przedwojennej Polski. Coraz bardziej potęgujący się głód i zimno, stawały się coraz trudniejsze do zniesienia. Z wściekłością patrzyliśmy na stojący na środku wagonu piecyk i kupkę węgla. Co z tego, że piecyk i węgiel był, ale czym było rozpalić, nikt nie miał ani zapalek ani kawałeczka drewna. Transport nasz jechał powoli, nieraz staliśmy w szczerym polu nawet kilka godzin. W czasie drogi otrzymywaliśmy rano i wieczorem po sucharze i trochę wody.

Z Kijowa skierowano nas na północ, a więc jedziemy do Moskwy - a gdzie potem? Nie wiadomo. Mróz przybierał na sile. Zimno było coraz większe, trzeba było być w ciągłym ruchu. W Moskwie staliśmy na bocznym torze, chyba pół dnia. Niektórzy z nas, znający dobrze język rosyjski, chcieli nawiązać rozmowę z kręcącymi się po stacji ludźmi, ale bez skutku. Konwojenci nie pozwalali na to i można było mieć duże nieprzyjemności. I znowu ruszyliśmy w drogę, ale już na północny zachód. Na drugi dzień po wyjeździe z Moskwy, znowu zmienił się kierunek jazdy na północno - wschodni. Nareszcie w dniu 4 grudnia przyjechaliśmy do stacji Borowicze, gdzieś w godzinach przedpołudniowych. Jakieś dwa dni przedtem, w naszym wagonie zmarł jeden z naszych kolegów. Nie wiem kto to był. Przez cały czas naszej drogi, trzymał się zawsze na uboczu. Nie wytrzymał. Na stacji zebrało się kilkudziesięciu wyrostków, zaczęli rzucać w nasz kierunku śniegiem i kamieniami, przezywając nas "polskimi bandytami".

Rozpoczął się wyładunek. Rampa na którą miano nas wyładować, została szczelnie obstawiona wojskiem. Wagony otwierano po kolei. Po otwarciu wagonu, sadzano nas na zaśnieżonej rampie po pięciu w rzędzie, drugich pięciu sadzano między nogami pierwszej piątki, tak, aż wyładowano cały wagon. Następnie przeliczono siedzących. Otwierano następny wagon,

postępując tak samo, aż wyładowano cały transport. Ci, co pierwsi byli wyładowani, musieli cierpliwie siedzieć na śniegu i czekać, aż wyładują i przeliczą cały transport. Siedzieli tak na śniegu przy kilkunastostopniowym mrozie, chyba z kilka godzin. Pamiętam, że nie mogłem wstać, gdyż po prostu przymarzłem do śniegu i cały skostniałem z zimna i niewłaściwego siedzenia. Nie można było zrobić kroku, a tu poganiano nas kolbami do marszu. Już dobrze szarzało, gdy ruszyliśmy. Szliśmy piątkami a po bokach, co trzydzieści metrów, żołnierz z psem.

Tak idąc, przypomniałem sobie, jak mój dziadek, który w czasie pierwszej wojny światowej dostał się do niewoli bolszewickiej, opowiadał mi, jak ich pędzono na Sybir. To było chyba tak samo. Potwornie zmęczeni, włócząc ledwo nogami, doszliśmy pod bramę łagru. Jak się okazało, już w obozie, przeszliśmy 12 kilometrów z Borowic do Jogły, bo tak nazywał się ten obóz. Przed bramą obozu zaczęło się liczenie. Dowódca konwoju przekazał nas komendantowi obozu, który jak się potem dowiedziałem, nazywany był przez więźniów "Rybim Oczkiem" - miał jedno oko szklane, był to arcysukinsyn, znęcał się nad każdym bez żadnego powodu. Po wejściu na teren obozu, zostaliśmy przywitani przez kolegów lubliniaków, którzy już wcześniej przyjechali na "wczasy". Pytaniom i szukaniem znajomych nie było końca. Po pewnym czasie umieszczono nas w ziemiankach 4, 5, 7.

Z zewnątrz do ziemianki wchodziło się po schodach w dół. Na lewo i prawo były dwa pomieszczenia, a w nich znajdowało się po 10 pryczy w każdym. Dalej wchodziło się do dużego pomieszczenia, w którym po obu bokach przy ścianach, jak i na środku mieściły się prycze dwupiętrowe. Siadając na dolnej, sięgało się głową górnej, zaś na górnej dotykało się głową stropu. Po prawej stronie baraku, gdzie prycza była krótsza o jakieś 2 metry, znajdował się duży piec gliniany, ale nie zapewniał on barakowi ogrzania, również z braku drewna, mimo że cały obóz był otoczony z dwu stron nieprzebytym lasem i to zaraz za drutami. Piec ten jednak był wykorzystywany przez kolegów do pichcenia dziwnych potraw z lebiody lub suszenia chleba w razie biegunki. Opał do tych celów zdobywano różnymi sposobami, nawet szczypiąc słupy podtrzymujące dach, za co, złapanym na wykonywaniu tej czynności, groził karcer.

Ja znalazłem się w ziemiance nr 7 wraz z kolegą Kruczkiem, Chodorowskim i innymi kolbuszowiakami. Po rozłokowaniu się na pryczy, na piętrze, zaczęto rozdawać kolację. Całodzienne wyżywienie, to było 600 gram czarnego chleba jak święta ziemia, ciężkiego jak glina, a jak go ścisnąć, to kapiała z niego woda. Następnie dwa razy dziennie 0,75 l zupy, która śmierdziała niesamowicie, gdy wnoszono ją do ziemianki, pływało w niej kilka śmierdzących zgnilizną łup z ziemniaków lub brukwi, albo listki śmierdzącej kapusty. W sumie, zupę tę można było zjeść zatykając nos, a raczej wypić szybko, żeby nie zrobił tego kolega, który był tak samo głodny jak i ja.

Na drugi dzień zaraz po tym "sutym" śniadaniu, udałem się na teren

obożu, szukając baraków 4 i 5, w których miałem nadzieję znalezienia reszty kolbuszowiaków a szczególnie Tośka. Znalazłem wszystkich na "piątce". Ojciec Tośka ze względu na znajomość języka rosyjskiego, został mianowany starszyną baraku nr 5. Przy tej okazji załatwił mnie, Kruczkowi i Chodorowskiemu, przeniesienie nas trzech na barak 5-ty, a na nasze miejsce poszli koledzy, którzy mieli znajomych na 7-ce. Po tej przeprowadzce, jak to młodzi, ciekawi, ruszyliśmy na teren obozu, aby się rozglądnać i coś dowiedzieć. Dowiedzieliśmy się, że w czasie ucieczki z naszego transportu, trzeci uciekinier niejaki J. Nędza dostał się pod koła wagonu. Ucięło mu palce u nóg i obecnie przebywa w szpitalu w Borowiczach, zaś kilkunastu (podobno dziesięciu) zastrzelono. Okazało się, że po rozładowaniu naszego transportu na stacji Borowicze, część kolegów i kilka kobiet skierowano do innego obozu zwanego Szybatowo.

W baraku nr 10 odgradzonego drutami od naszych baraków przebywało tylko 20 kobiet, a w naszym transporcie było ich 38. Transport nas liczył około 1500 osób, zaś do Jogły przybyło nas 1200. Okazało się, że obóz Jogła mógł pomieścić 5 tyś. więźniów, a było w nim faktycznie 4000 osób. Liczba ta często zmieniała się. Wszystkie stanowiska funkcyjne w obozie były obsadzone przez Niemców. To było oburzające. Dochodziło często do nieporozumień między nami a Niemcami. Raz byłem świadkiem jak doszło do regularnej bitwy między nami a Niemcami. Dostali wtedy porządnego łupnia, a nasi, którzy nie zdążyli w porę zbiec z pola walki, dostali się do karceru. A poszło tu o wodę. W obozie brak było wody. Z jedynej studni obozowej wolno było pobierać wodę tylko do kuchni. Myśmy musieli myć się w śniegu lub lizać go, gdy komuś chciało się pić. Na tyle ludzi, śniegu zawsze brakowało, więc woda była na wagę złota. Kilkunastu lubliniaków, akurat naszło na beczkę z wodą wiezioną do kuchni przez Niemców. Niewiele się namyślając, napadli na obstawę beczki z wodą, sprali porządnie Niemców i nim Sowieci zorientowali się co się dzieje, połowę wody wypili i rozdzielili. Kilku w zapale walki złapano i wsadzono do karceru. Karcer to był wykopany dół, przykryty dachem, w ogóle nie ocieplony tak jak ziemianki. Przebywanie w nim przez jeden dzień w czasie zimy, było strasznie ciężką karą.

Po kilku dniach naszych poszukiwań wraz z Tośkiem, nareszcie znaleźliśmy Staszka Kądziele. Wiedzieliśmy od kolegów, że jechał on w jednym wagonie z Azikiem Cassiną i chcieliśmy się dowiedzieć co się z nim stało, bo w obozie nie mogliśmy się go doszukać. Okazało się, że Azik został aresztowany w lekkim płaszczu i w letnich butach, i tak załadowano go do wagonu. W czasie drogi do łagru odmroził bardzo nogi. Jakieś dwa dni przed przyjazdem do stacji Borowicze, dostał silnej gorączki i nieprzytomnego wzięto go do wagonu, gdzie przebywali sami chorzy. Dopiero w obozie szachtowym dowiedziałem się, że po naszym wyładowaniu w Borowiczach, wagon z chorymi, gdzie był Azik, został przestawiony na boczny tor i dopiero na drugi dzień wyładowano wszystkich chorych, przewożąc ich do

szpitala w Borowiczach. Przez tę jedną noc postoj, kilku z nich zmarło. Azik opowiadał mi, że on sam nie wie, jak trafił do szpitala, gdyż był nieprzytomny. W szpitalu amputowano mu trzy palce u nogi, gdyż gangrena była już tak dalece posunięta, że ledwo uratowano mu nogę, którą sowiecki lekarz miał mu amputować w kolanie. Nogę uratował mu lekarz Polak, który pracował w tym szpitalu jako więzień.

Prawie codziennie siadaliśmy na pryczy, gdzie było światło i zaczynaliśmy polowanie na insekty, które mnożyły się z zadziwiającą szybkością. Wszy i pluskwy dawały się nam bardzo we znaki. Pamiętam, że ojciec Tośka śmiał się z nas, bo on nigdy nie robił takiego polowania, po prostu wszy go nie lubiły. Tosiek też miał ich o wiele mniej niż ja i nasi koledzy.

Było to chyba w połowie grudnia 1944 roku. Po obozie poszła fama, że kto zgłosi się na ochotnika do pójścia do lasu po drzewo, które potrzebne jest do kuchni, otrzyma dodatkową porcję chleba i kawałek słoniny. Ochotników było bardzo dużo. Tosiek był jednym z pierwszych. Ja również zgłosiłem się jak i prawie wszyscy kolbuszowiacy. Według naczalstwa obozu, miało to być niedaleko. Jak się potem okazało, było 20 km w jedną stronę. Przecież podstawowym prawem komunizmu to było kłamstwo. Wyszliśmy około piątej rano pod silnym konwojem z psami. Za nami jechały sanie. Myśleliśmy, że będziemy łądować na nie drzewo. Otrzymaliśmy na drogę suchy prowiant, ale to wcale nie dodało nam siły. Nie było w nim żadnej słoniny, tylko porcja czarnego chleba. Droga była śnieżna, nie przetarta, ciężka. Już po kilku kilometrach, co słabsi zaczęli padać z wycieńczenia. Już było chyba dobrze po południu, gdy doszliśmy na miejsce. Na dużej polanie leśnej leżały ćwiartki poukładanego drzewa. Konwojenci kazali każdemu z nas brać po płoszce drzewa, jednocześnie pilnując, żeby każdy brał jak najgrubszy kawałek. Gdy wszyscy stojący na nogach mieli płoszki na ramieniu, kolumna ruszyła w drogę powrotną. To była katorżnicza droga powrotu do łagru. Ludzie wycieńczeni głodem, potwornie zmęczeni, zaczęli padać, rzucając płoszki. Wśród przekleństw i wrzasku konwojentów poszły w ruch kolby karabinów, kopniaki, ale to nic nie pomagało. Wśród ciemności straciłem z oczu Tośka, ale jakoś się wlokłem. W końcu i moje siły skończyły się. Czuję jak dwóch konwojentów przeklinając szpetnie, wsadziło mnie na sanie. Co stało się z moją płoszką, to nie wiem. Udając nieprzytomnego, dojechałem do obozu. Była już chyba północ. W ziemiance był już Tosiek i inni. Tosiek przyjechał tak, jak i ja na saniach.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Był dzień wigilijny 24.12.1944 roku. Rano po śniadaniu wyszliśmy na apel. Jak co dzień, czekaliśmy na liczenie. W międzyczasie sowiecki starszyna poinformował nas, że apel jest połączony z przeprowadzeniem rewizji w ziemiankach, gdyż ich zdaniem ukrywamy broń, noże i inne rzeczy niedozwolone. Mróz w tym dniu był ostry. Staliśmy tak kilka godzin, aż skończyła się rewizja. Skutki tego były fatalne, odmrożenia, a nawet dwa wypadki śmierci. Po południu znowu była "prowierka" i to dużo wcześniej niż zwykle. Znowu staliśmy parę

godzin. Okazało się, że parę dni temu była ucieczka, ale natychmiast ją zlikwidowano no i przyprowadzono uciekinierów akurat w dzień wigilijny, a my czekaliśmy na apelu. Komendant obozu wygłosił szumne przemówienie ostrzegając wszystkich, aby nie próbowano, bo nikt stąd nie ucieknie. Ale to na nic się nie zdało, bo ucieczek było jeszcze kilka. To co władze obozowe zrobiły nam w dzień wigilijny, było szczytem sadyzmu i profanacją naszych uczuć religijnych. To było celowe. Ale to nas wcale nie złamało. Jednak była choinka. W każdym baraku na górnej pryczy stała zrobiona z cieniutkich draczków, skubanych mozolnie i skrycie z desek, którymi była obita latryna. W czasie rozlewania wieczornej zupy, zapalono te choinki. Po zjedzeniu zupy i chleba, wszyscy zaczęli składać sobie życzenia. Co mogli sobie życzyć wszyscy? Chyba tylko jak najszybszego powrotu do Ojczyzny, do najbliższych, ale czy ktoś z nas był pewien, czy to nastąpi, czy doczeka tej tak upragnionej chwili? Czy ktoś z nas mógł przypuszczać, co nas czeka jutro?

Przy składaniu życzeń, dzielono się okruszkami chleba. I nagle, nastąpiła idealna cisza, jak by na komendę. Z tej ciszy po kilku sekundach, ktoś ze starszych zaśpiewał: "O Panie, któryś jest na niebie". Natychmiast cały barak podchwycił to i potężny śpiew ogarnął cały obóz, bo to samo śpiewano we wszystkich barakach. Śpiew nagle zamienił się w jeden ogromny płacz i szloch, nie było nikogo, kto by nie płakał. Po tym wybuchu rozpaczy, ludzie powoli zaczęli się uspokajać. U wejścia do ziemianki, ktoś zaczął przemawiać. Tosiek powiedział do mnie: "to mój ojciec". Rzeczywiście, ojciec Tośka przemawiał. Zwracał się do wszystkich, aby nikt nie tracił nadziei, że nie wolno się załamywać, bo utrata wiary to klęska. Polak zawsze był i musi być silnym i twardym. Przecież nadejdzie dzień, że powrócimy do Ojczyzny, do swoich najbliższych. Pamiętajcie, że teraz stanowimy jedną wielką rodzinę, musimy się trzymać razem i nawzajem sobie pomagać. Po tym przemówieniu ten ponury, pesymistyczny nastrój trochę się rozładował.

Dwudziesty czwarty grudnia 1944 roku był dla nas bardzo ciężkim dniem. To co się działo w tym dniu, nikt nie jest w stanie opisać, to trzeba było przeżyć, aby zrozumieć do czego jest zdolny komunizm i jak potrafi niszczyć człowieka.

Jeszcze długo w nocy śpiewano kolędy, i o dziwo, nikt ze straży obozowej nie zjawił się, aby nas uspokoić. Przecież obowiązywała cisza nocna i zakaz wychodzenia z baraku. Siedzieliśmy jeszcze długo z Tośkiem na pryczy. Był jakoś dziwnie zamyślony i skupiony. Zapytany, dlaczego nic nie mówi, powiedział mi: "wiesz co, ja to mam takie przecucie, że już nigdy nie będę oglądał domu rodzinnego, ja tego nie przeżyję". Zacząłem mu tłumaczyć, że tak myśleć nie wolno, należy mieć zawsze nadzieję, ale on nie bardzo zgadzał się ze mną. Rozmawialiśmy bardzo często o naszej sytuacji, co nas dalej czeka. Tosiek tłumaczył nam, że musimy trzymać się razem i gdyby zaistniała taka sytuacja, że będziemy zmuszeni przejść do innego obozu, to wszyscy razem.

W miesiącu styczniu 1945 r. pojawiła się komisja lekarska, składająca się z dwu rosyjskich lekarek. Po barakach ogłoszono, że można zgłaszać j się do pracy, uprzednio stając przed komisją. Pracujący otrzymują lepsze j wyżywienie. I znowu poszliśmy na lep tego kłamstwa, bo głód dokuczał nam strasznie. Komisja selekcjonowała nas w sposób następujący. Delikwent stawał przed komisją, spuszczał portki, doktorka brała do ręki ołówek, naciskała badanego po pośladkach. Jeżeli trafiała na kość zaraz pod skórą, to "poborowy" nie nadawał się do pracy. Otrzymywał trzeci stopień dystrofii. Choroba ta zupełnie nieznaną u nas, polegała na zupełnym lub częściowym zaniku mięśni i była stopniowana -I, II i III stopień. Do pracy nadawali się tylko ci, którzy otrzymywali I lub II stopień dystrofii, to znaczy, ołówek powodował pewne zagłębienie na pośladku, to jeszcze coś tam było pod tą skórą.

Kolbuszowiaków do komisji stanęło dużo. Tosiek również koniecznie chciał stanąć przed komisją. Ja mu tłumaczyłem, żeby tego nie robił, gdyż jest słaby fizycznie i nie wytrzyma, przy takim wyżywieniu pracując. Ojciec jego prosił go nad wszystko, żeby pozostał z nim, bo była możliwość dostania się do obozu wypoczynkowego, przeznaczonego dla chorych, do tak zwanego obozu leśnego. On nie chciał o tym słyszeć. Uważał, że jego miejsce jest tam, gdzie jego koledzy. On nie może być lepiej traktowany niż inni, nie chciał aby mu ktoś potem powiedział, że prześlizgnął się przez obozy. No i nie było rady - poszedł z nami.

Pod koniec stycznia 1945 roku, przeniesiono wszystkich wyselekcjonowanych, do obozu Szybatowo. Tu ku naszej radości spotkaliśmy nasze koleżanki, które były aresztowane razem z nami w Kolbuszowej. Były to: M. Dudzińska, Z. Januszewska, Z. Golniewicz, Z. Kotlarek, Opalińska i inne. Mieszkały w baraku tuż przy drutach. Barak ten był odgradzony wewnątrz obozu jednym szeregiem płotu z drutu. Latryna, do której myśmy chodzili i chodziły kobiety, była podzielona deskami na połowę. Tu właśnie w tej latrynie odbywały się nasze spotkania i rozmowy przez te deski. Do tej latryny, koleżanka z Liceum - Marysia Dudzińska, nosiła mi gotowane ziemniaki, podając je przez swoje oczko, do mojego. Tak dożywiała mnie i innych, przez cały miesiąc. Było to bardzo niebezpieczne, ale trudno. Dzięki niej, przeżyłem tę katorgę. Pamiętam, jak stawałem na komisję lekarską w Szybatowie, to lekarka dała mi pierwszą kategorię i powiedziała: "budziesz rabotać w szachtu". Oj, było to strasznie "pocieszające".

W lutym 1945 roku, znowu wszyscy wyselekcjonowani przez komisję, zostali przeniesieni do obozu szachtowego. Był również z nami Tosiek, który trochę doszedł do siebie. Obóz szachtowy, był obozem najcięższym. Ciężka praca w kopalni węgla, na lasospławie, przy wyładunku wagonów, w cegielni - wykańczała ludzi. Śmiertelność w tym obozie, była największa. Komendantem obozu mianowanym przez NKWD, był niejaki Draps, kolaborant, przed wojną żołnierz WP, następnie w wojsku niemieckim i na końcu więzień sowiecki - typowa świnia, niesamowity służbista i kolabo-

rant sowiecki. Podzielono nas na grupy robocze, liczące średnio po około 40 osób. Tosiek dostał się do grupy zaopatrującej obóz w wodę, drzewo do kuchni, ziemniaki z kołchozu i inne rzeczy. Miał możliwość zawsze coś przynieść do obozu i zawsze rozdawał to kolegom, a sam mało z tego korzystał. Taki już był. Był szczęśliwy, jak mógł pomóc drugiemu. Ludzie go wykorzystywali, nieraz nawet oddawał swoje porcje drugiemu, bo uważał, że ktoś jest bardziej głodny niż on, a to graniczyło w tych warunkach ze śmiercią. Mimo naszych tłumaczeń, ażeby dbał o zdrowie, bo trzeba przetrwać i wrócić, nie dbał o to. Był bardzo czuły na ludzkie nieszczęście. Ja pracowałem na lasospławie. Wyciągaliśmy w lecie kłocę na brzeg, a zimą i w jesieni nosiliśmy je na własnych plecach, do kopalni węgla około 1,5 km. Przy tej pracy uległem wypadkowi - przycisnął mnie kłoc i uszkodził mi kręgosłup, co odczuwam do dziś. Mimo ciężkiej pracy i obietnic, otrzymywaliśmy takie samo wyżywienie jak niepracujący. Tak samo nęcano nas długimi "prowierkami", szczególnie w zimie po przyjeździe z pracy. Potężne mrozy, wszy, pluskwy, głód i ciężka praca, wyniszczały nas potwornie. Ludzie umierali masowo. W obozie kwitł różnego rodzaju handel, gdyż możliwość wyjścia za bramę do pracy, sprzyjała temu. Szczególnie głód, zmuszał nas do złodziejstwa. Mimo represji i kar, kombinowaliśmy żywność, gdzie tylko się dało. Idąc do pracy, myśleliśmy jak zdobyć coś do zjedzenia, a to nie było łatwe i nie często się udawało. W miesiącu marcu 1945 roku obóz liczył około 1500 osób. Liczba ta, zmieniała się ciągle. W tym właśnie miesiącu wybuchła epidemia czerwonki. Ludzie zaczęli umierać masowo, nieraz po 30 osób dziennie. W miesiącu kwietniu, śmiertelność była największa. W tym to miesiącu zachorował Tosiek. Praca i strasznie ciężkie warunki, wyniszczyły jego organizm zupełnie. Na izbie chorych, nie było żadnych leków. Jedynym lekiem przeciw czerwonce był palony na węgiel chleb, ale skąd go było brać. Chorzy nie mieli żadnej opieki, byli pozostawieni sami sobie. W czasie nasilenia choroby tracili przytomność i umierali. Koledzy, którzy mogliby nimi się opiekować, musieli iść do pracy.

Tosiek zachorował 18 kwietnia 1945 roku. Zaraz po przyjeździe z pracy, poszedłem na tak zwaną izbę chorych. Był to taki sam barak, jak inne, tylko dużo mniejszy. Mieścił około 20 osób. Tosiek był już prawie nieprzytomny. Organizm jego był bardzo wyniszczony, był przeraźliwie chudy. Mówiłem coś do niego, ale on nic się nie odzywał. Byłem bezradny. Może gdyby był jego ojciec w naszym obozie, to by mógł coś zaradzić, ale on został przeniesiony do łagru leśnego. Koledzy byli też bezradni. Nie było mowy, aby zdobyć jakiś lek przeciw czerwonce. W tym czasie, stosunek Sowietów do nas był bardzo wrogi, robili wszystko, aby się nas pozbyć, obojętnie jakimi środkami. Na następny dzień wieczorem, będąc u niego, zastałem Staszka Kądziele. Tosiek był nieprzytomny. Widać było, że cierpiał strasznie. Nad ranem 20 kwietnia zmarł. W tym dniu na izbie chorych, leżało 23 osoby i nikt nie przeżył. Miesiące, kwiecień i maj, były tak zwanymi miesiącami śmierci. W tym czasie, czerwonka zbierała straszne żniwo.

Jak odbywał się pochówek zmarłych, to aż trudno o tym pisać. Specjalna ekipa więźniów, układała zmarłych na dużej platformie i pchając ją pod konwojem, wywoziła na pobliską górkę, gdzie ich grzebano we wspólnej mogile. I mnie nie ominęła czerwonka, ale dopiero w czerwcu. Pamiętam, że będąc na tej samej izbie chorych, czołgałem się do piecyka, który palił się w kącie, aby spalić kawałek porcji chleba na węgiel. To pomagało. Moi koledzy leżący ze mną, jedli nawet sam węgiel drzewny.

W obozie szachtowym, według "Księgi śmierci", którą posiadam od władz Rosji, zmarło 182 więźniów w czasie od lutego 1945 r. do stycznia 1946 r., tj. do chwili naszego wyjazdu do domu. Są to niepełne dane, sowietci nie rejestrowali zgonów od chwili naszego przyjazdu do momentu utworzenia zespołu łagrów 270 - Borowicze.

Nadeszło lato, które tu trwa tylko 4 miesiące. Po przeżyciu czerwonki, byłem zwolniony z pracy, przez lekarza sowieckiego na okres 3-ch tygodni, gdyż byłem tak wychudzony, że nie mogłem chodzić o własnych siłach. Z nadejściem ciepła, rozszalały się wszy i pluskwy. Był wypadek, że na izbie chorych pluskwy zjadły jednego z kolegów, który był tak chory, że nie mógł się poruszać i przez to nie mógł uciec przed nimi z baraku. W czasie lata nie było mowy aby spać było można w barakach. Nie pozwalały na to pluskwy i wszy. Spaliśmy wszyscy na polu przed barakami, porozbierani, a ubrania zagrzebywaliśmy w piasku kładąc się na nich, co w pewnym stopniu pozwalało wydusić insekty.

Sowieci sami przestraszyli się inwazji insektów i już od marca działała tzw. "bania", w której była odwszalnia. Jak to się odbywało? Cały barak szedł do "bani", rozbieraliśmy się do naga, ubrania wieszano w dużej komorze ogrzewanej gorącym powietrzem, a myśmy się myli, otrzymując około 3-ch litrów wody w drewnianym wiaderku, a tak naprawdę, to rozmazywaliśmy po sobie narastający ciągle brud. Po umyciu dostawaliśmy "czyste" kalesony i koszule. Potem otwierano drzwi pieca odwszalniczego i każdy szedł po swoje ubranie. W tych ubraniach, które były umieszczone w środku pieca, gdzie temperatura była dość wysoka, to wszy ginęły, ale w tych koło drzwi, to wszy żyły, gdyż zbyt niska temperatura ich nie zabiła. I znowu za parę dni lęły się w naszych ubraniach nowe.

Wojny z insektami nie wygraliśmy nigdy. Przyjechały one wraz z nami do domu. Szczególnie w lecie, gdy spaliśmy na polu, a ciepło sprzyjało rozwojowi pluskiew, w barakach były ich zastraszające ilości. Jeden z kolegów w swych wspomnieniach opisuje, że w jednym z baraków w okresie lata, kiedy nikt w nich nie spał, były ich takie ilości, że zgarniano pluskwy łopatą, wyrzucając je do ogniska palącego się przed barakiem. Palące się insekty skwierczały jak skwarki na patelni.

Po zakończeniu II wojny światowej, stosunek enkawudzistów do nas zmienił się na naszą korzyść. Nasi konwojenci w pracy, zaczęli nas pocieszać, że niedługo wrócimy do domu. Warunki higieniczne i wyżywienie nie zmieniły się wcale. Nadal pędzono nas do pracy, która w naszych warunkach

była bardzo ciężka i wyniszczała nasze organizmy. Już pod koniec sierpnia nadeszły chłody, a we wrześniu kilkustopniowe przymrozki. Po wypadku, jaki miałem w czasie pracy na lasospławie, przydzielono mnie do grupy wyładowującej wagony. Nieraz pracowaliśmy przy wyładunku konserw amerykańskich, które bolszewicy otrzymywali w ramach pomocy gospodarczej. Wtedy można było się nieźle odżywić, jeżeli weszło się w odpowiednie układy z konwojem. Jeżeli konwojenci byli starsi, pamiętający czasy carskie, to chętnie szli na te układy, bo byli też głodni. Jak to wyglądało? Kilku kolegów z grupy, najwyżej trzech, w czasie wyładunku konserw miało zadanie schować kilkanaście puszek do spodni, a nie do nosidełek. Następnie, co pewien czas wychodzili za własną potrzebą, oczywiście za zgodą konwojenta, który wiedział, gdzie zostaną te konserwy złożone. Po wyładowaniu wagonu, rachunek magazyniera nie zgadzał się z listem przewozowym. Wtedy dochodziło do ostrej wymiany zdań, między konwojentem a magazynierem. W czasie kłótni obie strony obrzucały się soczystymi przekleństwami, a my staliśmy na boku, czekając aż ich zabolą języki i skończą tę "piękną" dyskusję. Następnie zrewidowano nas, czy któryś nie schował konserwy do kieszeni. Po zakończeniu tego przedstawienia, nagle dwóch więźniów, którzy składali konserwy w umówionym miejscu, szło z konwojentem tam. Tu następował podział łupów. Połowę brał konwojent a drugą my. Konwojent miał jeszcze obowiązek tak dokonać rewizji przed bramą obozową, aby nic u nas nie znaleźć i ku zadowoleniu obu stron, sprawa została umorzona. Młodzi konwojenci natomiast, byli bardzo wierni komunie i nie było mowy, aby z nimi taka akcja udała się. Takich konserw najwyżej można było ukraść tylko 10. W obozie następował podział zdobyczy między całą grupę. Nie było to dużo, ale dla nas bardzo wiele. Konserwa ważyła 0,5 kg. Wyładunek wagonów odbywał się zwykle w nocy i robiły to grupy ochotników tak, że taka gratka nie często się trafiała.

W miesiącu październiku przydzielono mnie do grupy dowożącej wodę z rzeki Msty, do kuchni obozu szachtowego. Rzeka już była wtedy zamrznięta i wodę braliśmy z wyrąbanej przerębli. Msta płynęła w głębokim jarze i duża 200-stu litrowa beczka, na dwu żelaznych kołach, stała na szczycie jaru. Jeden z nas czerpał wodę wiadrem z przerębli, zaś pozostali, stojąc w rzędzie podawali temu na górze, który wlewał ją do beczki. Przy tej pracy trzeba było bardzo uważać, gdyż schodki wyrąbane w zamrzniętej ziemi, były śliskie i można było z pełnym wiadrem wody, zjechać prosto do przerębli.

Był miesiąc listopad, gdy mnie spotkał taki właśnie wypadek. Kolega, który się poślizgnął wpadł na mnie, a ja z kolei jedną nogą wpadłem do przerębli. Zanim przywieźliśmy wodę do obozu, mokra walonka była cała zamrznięta tak, że jak trafiłem do naszego lekarza, musiał rozcinać walonkę aby ją ściągnąć. Noga była cała biała. Lekarz Hornowski stwierdził odmrożenie. Po 3 dniach noga wyglądała jak bania, cała spuchnięta aż do

kolana. Zaczęły się otwierać rany, ropa wraz z krwią sączyła się bez przerwy. Lewa noga była również odmrożona, ale dużo mniej. Zaczęła wdawać się gangrena. Lekarz Hornowski kazał mi owijać tę nogę szmatą umaczaną w oleju napędowym. I to rzeczywiście pomogło. Gangrena ustąpiła, ale rany nie zagoiły się. Dopiero po powrocie do domu, i to po kilku miesiącach, noga zagoiła się. W obozie był taki moment, że lekarz sowiecki chciał mi nogę amputować w kolanie, ale jakoś cudownie obyło się bez tego.

Jesienią 1945 roku, zaczęły się w obozie szachtowym przesłuchania, które jak się potem okazało, miały cel posegregowania akowców na "mniej winnych" i "bardziej winnych". Całe szczęście, że w czasie tych przesłuchań, nie używano przemocy fizycznej, jak to miało miejsce po aresztowaniu.

Pewnego wieczoru przyszedł do mnie Koi. Zieliński, z którym w konspiracji łączyły mnie wspólne zadania. U niego w domu, w Kolbuszowej Dolnej, mieścił się punkt kontaktowy. Łącznicy z placówki Obwodu kolbuszowskiego przywozili tajną pocztę dla Komendy Obwodu, którą ja z kolei dostarczałem mojemu dowódcy por. Ziemiańskiemu, który był też z nami w tym obozie. Koi. Zieliński prowadził warsztat naprawy rowerów, a właściwie zajmował się głównie naprawą broni wszelkiego rodzaju. Był rusznikarzem w konspiracji. Widocznie ktoś musiał donieść sowietom o tym, bo zaczęło się żmudne dochodzenie w tej sprawie.

Koi. Zieliński Leon, dużo starszy ode mnie, był z zawodu mechanikiem. Umówiliśmy się, jak należy zeznawać. On podał mnie na głównego świadka, a ja zeznałem, że bardzo często bywałem w jego warsztacie, gdyż miałem rower, który często się psuł i musiałem go co chwilę naprawiać. Dalej zeznałem, że mieszkając bardzo blisko, znałem go dobrze i to, o co się go oskarża, nie jest prawdą. Byłem w tej sprawie przesłuchiwany kilka razy, ale zawsze mówiłem to samo tak, że przyjęto to za prawdę. Muszę zaznaczyć, że w czasie składania zeznań, należało zawsze mówić tak, jak to miało miejsce w pierwszym przesłuchaniu, dodanie, lub niedomówienie jakiegoś słowa, albo zmiana zdania, miało przykre następstwa. Przesłuchanie odbywało się od nowa. Przesłuchanie zawsze prowadziło kilku oficerów NKWD, rzucając na przemian pytania, i trzeba było bardzo uważać aby się nie poplątać.

Moja noga dokuczała mi bardzo. Miałem zwolnienie z pracy przez cztery tygodnie, ale potem mimo ciągle nie gojących się ran, musiałem pracować. Przeszły drugie Święta Bożego Narodzenia, które były tak samo smutne, jak pierwsze. Zaraz po świętach zdjęto nas z pracy, chyba koło tysiąca osób i przeniesiono do obozu Kawanka. W obozie szachtowym, pozostało około 400 osób, sami oficerowie i "bardziej winni". Już wtedy wiedzieliśmy, że oni pozostaną, a my może pojedziemy do domu, albo do innej pracy. Jak się potem okazało, obóz ten był obozem kwarantannowym. Wysokie baraki mieściły 5-ciopiętrowe prycze. Zaczęto nas trochę lepiej odżywiać. Otrzymywaliśmy tę samą porcję chleba, kostkę cukru, no i zupa była czymś zaprawiana, bo była gęściejsza. Władze obozowe zaczęły

nas pocieszać, że już niedługo pojedziemy do domu. Myśmy to przyjmowali, jako kolejne kłamstwo, no bo jak można było wierzyć ludziom, którzy cały ten "diabelski ustrój" opierali tylko i wyłącznie na kłamstwie.

Przez te kilka tygodni pobytu w tym obozie, nie robiliśmy nic. Siedziało się na pryczach, grając najczęściej w szachy zrobione własnym przemysłem. Odbywały się różnego rodzaju dyskusje, snuto plany, co będziemy robić jak przyjedziemy do domu, co stało się przez ten czas z naszymi rodzinami. Wszyscy byli bardzo podnieceni. Aż nadszedł dzień, kiedy wyprowadzono nas wszystkich przed baraki na plac apelowy. Przed nami stanął jakiś płk NKWD i zaczęła się przemowa, z której dowiedzieliśmy się, że saюз sowiecki dbał o nas, a teraz nadszedł czas, że pojedziemy do domu. W końcowej fazie przemówienia padło pytanie, czy ktoś z nas, nie ma przypadkowo jakichś pretensji do sowieckiego sajuza, czy każdy z nas otrzymał swoje depozyty. Znalazło się kilkunastu łatwowiernych, że zgłosili brak zegarków, obrączek i innych wartościowych rzeczy. Wtedy pan pułkownik, ze stoickim spokojem powiedział: "Ci, co mają pretensje, to należy wystąpić z szeregu, przejść na lewą stronę, pozostaną oni w obozie, aż do chwili, kiedy wyjaśni się ich pretensje. Reszta natomiast pojedzie do domu". Zaległa cisza, nikt nie wystąpił, pan pułkownik zapytał jeszcze raz, czy wszyscy pojęli, zaczął czekać chwilę a widząc, że nikt nie kwapi się do zgłaszania swoich pretensji, uśmiechnął się pod nosem i powiedział: "Charaszo rebiata, wsie pajdziocie w damoj". Czy to nie było najbardziej proste i idealne rozwiązanie tego problemu? Przecież myśmy przechodzili kilkanaście rewizji w czasie pobytu w łagrach. Wszyscy zostaliśmy obrani z wszystkiego bardzo dokładnie. Jadąc do domu, byliśmy ubrani w niemieckie mundury i porozdzierane niemieckie płaszcze. Ja np. miałem na sobie płaszcz z jakiegoś szwaba, który z tyłu, poczynając od samego kołnierza, był rozdarty do samego dołu. Z przodu natomiast posiadał tylko jeden guzik i to pod szyją. Płaszcz ten stanowił dwie idealne połowy, podtrzymywane tylko kołnierzem zapinanym na jeden guzik. Po dokładnym sprawdzeniu całej kolumny, uszeregowanej piątkami, po wyjściu za bramę obozu, otoczyło nas kilkunastu konwojentów z psami. To znowu dało nam dużo do myślenia. Zaczęliśmy wątpić, czy jedziemy do domu, czy do innego obozu.

Po załadowaniu nas do wagonów, otrzymaliśmy suchy prowiant na drogę i po kilku godzinach ruszyliśmy. Nasz transport, wyjechał z Borowicz 26 stycznia 1946 roku. Znajdowali się w nim ludzie, najbardziej chorzy, wycieńczeni ciężką pracą w obozie szachtowym. Już po kilku dniach jazdy zorientowaliśmy się, że jedziemy w kierunku południowo - zachodnim. Po przyjeździe do Wilna, byliśmy już pewni, że jedziemy do domu. W pierwszych dniach lutego 1946 roku zatrzymaliśmy się na stacji granicznej w Brześciu nad Bugiem, gdzie przeładowano nas, na tor normalny i ruszyliśmy przez Sewastopol do Białej Podlaskiej. Tu zakończyła się nasza powrotna droga do domu, ale rozpoczęły się inne problemy.

Byliśmy już w Kraju, ale jeszcze pod nadzorem NKWD. Mieszkańcy Białej Podlaskiej to byli cudowni ludzie. Z chwilą zatrzymania się transportu na stacji, otoczyły nas tłumy mieszkańców, a szczególnie młodzieży, pod czujnym okiem rodziców. Młodzież szkolna, mimo oporu ze strony konwoju, zaczęła nam dostarczać duże ilości żywności, podając ją przez zakratowane okienka wagonu. Tam, gdzie konwojenci rosyjscy, nie chcieli do tego dopuścić, młodzież napierała tak silnie na obstawę wagonu, że ci musieli skryć się pod wagonami. W nocy nie mogliśmy spać. Gdzieś daleko, prawie przez całą noc, było słycać strzelaninę. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to działały jeszcze ugrupowania akowskie, że ciągle w Kraju nie ma spokoju. Nagle gdzieś około trzeciej nad ranem, podkradł się do nas ktoś z miasta przynosząc wiadomość, że władze polskie nie chcą nas przyjąć i chcą, abyśmy pojechali z powrotem do obozu. Już zaczęło się robić szaro, gdy nagle na peronie, zjawily się tłumy ludzi i wszyscy ruszyli z ogromnym krzykiem w kierunku naszych wagonów. Trwało to chyba zaledwie parę minut, drzwi wagonów nagle się otwały i ludzie zaczęli nas wyciągać. Powstał nieopisany chaos. W ciągu kilku minut, zostaliśmy rozdzieleni między ludzi, stacja opustoszała. Trzech moich kolegów i ja dostaliśmy się w ręce dwu młodych panienek, a za nami szła starsza pani, widocznie ubezpieczając to porwanie.

Panie, które wzięły nas do "niewoli", szybko zaprowadziły nas do domu. Zdaniem starszej pani, tu byliśmy bezpieczni. Jak się potem okazało, gospodyni tego domu uczyła w miejscowym Liceum. Córki zaś były uczennicami tejże szkoły. Cała rodzina była bardzo ściśle związana z konspiracją. Ojciec do tego czasu jeszcze czynnie walczył z rodzimą komuną. Nasza gospodyni przygotowała nam skromny posiłek tak, aby nie zaszkodził nam, po tak długim poście.

Ciągle nie umieliśmy się znaleźć w nowej sytuacji. Zaczęły się pytania tak z jednej, jak i z drugiej strony, opowiadaniom nie było końca. Zacząłem opowiadać o Tośku, domyślałem się, że ojciec jego na pewno nie powróci prędko do domu, a ja będę musiał przywieźć rodzinie tę straszną wiadomość. Ciągle nie mogłem sobie uświadomić, że nie ma go wśród nas, że nie doczekał tej upragnionej chwili.

Tak jakoś ułożyła się rozmowa z naszą gospodynią, że zacząłem jej opowiadać właśnie o Tośku, że taki wartościowy chłopak, bardzo dobry Polak, czuły na ludzką niedolę, który zawsze kierował się tylko dobrem drugiego człowieka i musiał umierać w tak strasznych warunkach, z dala od rodziny, w tak młodym wieku. Dziś pisząc te straszne wspomnienia sprzed pół wieku, które tkwią we mnie tak silnie, jakby to miało miejsce dopiero wczoraj, zastanawiamy się razem z żoną, jak strasznie złym człowiekiem musiał być Stalin, że potrafił zniewolić całe narody i wymordować setki milionów ludzi, nic nie winnych. Jednak największym nieszczęściem ludzkości jest to, że potrafił wszczepić ludzkości nienawiść człowie-

ka do człowieka, co pokutuje do dnia dzisiejszego, i nie wiadomo jak długo będzie to istnieć w naturze człowieka.

W czasie tej naszej rozmowy, dziewczęta poszły do miasta, dowiedzieć się co teraz będzie z nami robić władza, czy to całe zajście, które miało miejsce na stacji, nie spowoduje czasem jakichś represji. Jak się okazało, społeczeństwo miasta było świetnie zorganizowane. Cały nasz transport został w kilka minut rozebrany, nie było mowy aby "bezpieka" mogła nas odnaleźć.

Na drugi dzień przez megafony porozmieszczane w mieście, zaczęto nas poszukiwać. Co pewien czas nadawano, aby powracający z ZSRR zgłaszali się bez obawy do punktu rejestracyjnego w szkole, gdzie zostaną nam wydane dokumenty i pieniądze na wyjazd do domu. W pierwszym dniu, nikt podobno się nie zgłosił, ale za to młodzież szkolna, bardzo sprytnie zrobiła rozeznanie, czy nie ma w tym wszystkim jakiegoś podstępu. Zaczęliśmy się zgłaszać na punkt rejestracyjny. Tu słabo piszący urzędnik UB, wypełnił każdemu ankietę, pouczał co wolno mówić, każdy otrzymał 200 zł na drogę do domu i pozwolenie na bezpłatny przejazd, gdy musiał jeździć po Polsce, w poszukiwaniu rodziny. Nasi opiekunowie zaczęli nas przygotowywać do drogi, ale również chcieli nas jeszcze gościć. Nie wiem, czy ktoś kiedyś w życiu, był serdeczniej przyjmowany, tak jak nas przyjmowało społeczeństwo Białej Podlaskiej po powrocie z łagru.

Jeżeli ktoś, kiedyś będzie czytał moje wspomnienia, to niech przekaże Władzom i Społeczeństwu Miasta Białej Podlaskiej, że pamięć o tym musi trwać wiecznie. Aby okazać tyle serca i poświęcenia dla drugiego człowieka w tamtych czasach, to trzeba było mieć wiele odwagi i być naprawdę Polakiem.

Nadeszła chwila pożegnania z tymi wspaniałymi ludźmi. Każdą grupę odprowadzało na stację społeczeństwo, żegnając się z nami jak z rodziną. Kolejarze również byli już uprzedzeni, kto my jesteśmy, przekazywali to następnym kolegom, tak że do samego domu jechaliśmy pod dobrą opieką.

Po dwóch dniach, nareszcie dojechaliśmy szczęśliwie do stacji Nowa Dęba. Było nas razem czterech z Kolbuszowej, inni koledzy pojechali trasą do Rzeszowa. Świat kolejowy, niestety, kończył się w Nowej Dębie i aby dostać się do Kolbuszowej, trzeba było iść na piechotę 25 km. Była chyba godzina 14-ta. Po naradzie postanowiliśmy dojść do Majdanu Królewskiego. Ja tam miałem kolegów znajomych z konspiracji i liczyłem na to, że pomogą nam się dostać jakoś do domu. Było już dobrze szaro, gdy znaleźliśmy się na rynku w Majdanie. Nagle od strony Kolbuszowej, nadjechał mały terenowy samochód, rosyjski. Zatrzymał się przed nami i w momencie, zobaczyliśmy przed sobą rosyjskiego majora z bronią w ręku. Zaczęły się pytania i rewizja osobista. Po skontrolowaniu naszych dokumentów, tenże major schował broń, zaczął kręcić głową i bardzo szczegółowo przyglądał się naszym ubiorom. Bardzo podobał mu się mój płaszcz. W końcu zapytał się, dlaczego nas tak "niecharaszo" ubrali. Ja już trochę odzyskałem

mowę i odpowiedziałem mu, że jesteśmy zupełnie dobrze ubrani, trzeba było nas widzieć jak wyglądaliśmy w łagrze. Pan major popatrzył się na mnie i odrzekł, "ja znaju", następnie zaofiarował się, że zawiezie nas do Kolbuszowej. Ja prędko odpowiedziałem mu, że my sami pójdziemy sobie piechotą, ale on nadal próbował nas namówić, abyśmy z nim pojechali. W końcu ja powiedziałem, że nie. Major popatrzył się na mnie i powiedział: "ja znaju, ja ponimaju", zaszalutował, podał każdemu rękę, wsiadł do samochodu i pojechał w kierunku Nowej Dęby. Wtedy moi koledzy przemówili, że trzeba było się zgodzić, bylibyśmy prędzej w domu. Ja im odpowiedziałem, że nie wiadomo, czy naprawdę dojechalibyśmy do domu.

To całe zajście obserwowało kilku młodych ludzi z Majdanu. Nagle wśród nas pojawił się młody człowiek, i zapytał czy ja jestem Godlewski, - odpowiedziałem tak. Wtedy zaczął mnie ścisnąć i zaraz znalazł się drugi i jakaś dziewczyna, no i zabrano nas do domu. Okazało się, że byli to Chmielowcowie - Jan i Marian z siostrą Janiną, z którymi ja miałem kontakty w czasie akcji "Burza". Chodziłem do nich z pocztą z Komendy Obwodu. Zaczęto nas pytać, czy nie wiemy coś o ojcu Karolu i bracie Tadeuszu. Nie wiedzieliśmy nic o nich, nawet nie wiedzieliśmy, że byli aresztowani i wywiezieni wraz z nami. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że Tadek zmarł w obozie na czerwonkę. Ojciec ich powrócił dopiero następnym transportem.

Zaraz na stole pojawiła się kiełbasa i coś mocnego do picia. Upomniałem kolegów, aby ostrożnie jedli, bo może być katastrofa. W czasie tej biesiady Janek Chmielowiec wyszedł na chwilę, ale przyszedł za jakieś piętnaście minut i mówi do mnie: "ja telefonowałem, twój ojciec wie, że już jesteś u nas". Byłem bardzo mile zaskoczony tą wiadomością, podziękowałem mu, no i zaczęliśmy myśleć, jak się dostać do Kolbuszowej. Pieszko nie było mowy, ale w końcu Janek i Marian wynaleźli jakiegoś wozaka z koniem i wozem. Przy pożegnaniu obiecaliśmy sobie, że nie będziemy się spotykać ani porozumiewać, ze względu na bezpieczeństwo własne i rodzin. Chyba po trzech godzinach, dojechalibyśmy do Kolbuszowej Dolnej. Podziękowaliśmy za przywiezienie nas i już każdy poszedł do domu na własną rękę. Skowrońscy mieszkali w Kolbuszowej Dolnej, a ja z Chodorowskim i Maciągiem Włodkiem, poszliśmy bocznymi ulicami do domu.

Nie zapomnę nigdy, spotkania z rodzicami po tak długim czasie i tylu przejściach. Bałem się, że nie wytrzymam nerwowo. I tak się stało. Po wejściu do domu, stanąłem w progu i zrobiło mi się słabo. Wiem, że ojciec podstawił mi stołek i usiadłem, ale nie straciłem świadomości. Patrzyłem na rodziców nie mogąc nic powiedzieć. Mama płakała, co widziałem u niej drugi raz w życiu. Pierwszy raz miało to miejsce, gdy aresztowali mnie Niemcy w 1939 roku. Mama była kobietą bardzo cichą, ale bardzo twardą. Nie mogłem się porozbierać. Rodzice pomogli mi się rozebrać, wanna była już przygotowana, wykapałem się i zachciało mi się strasznie zjeść śledzia,

który o dziwo, był akurat w domu. Nadal nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Mama potem mówiła mi, że tylko kiwałem głową zamiast odpowiadać. Chciałem tylko spać. Przygotowano mi łóżko, ale nie mogłem w nim zasnąć. Pościeliłem sobie koc na podłodze, pod głowę musiałem mieć coś twardego, bo w obozie spało się na butach, i dopiero zasnąłem. Podobno spałem dwa dni i dwie noce. Nikt nie mógł się mnie dobudzić. Rodzice myśleli, że mi się coś stało, ale jakoś otworzyłem oczy. Dopiero po przebudzeniu się, zdałem sobie sprawę, gdzie jestem. Jakoś trudno mi było sobie uświadomić, że jestem w domu rodzinnym. Poczulem nagle straszny głód, widocznie nerwy puściły. Mama zaczęła mnie karmić po swojemu, owszem dużo, ale jałowe i raczej po trochu, ale często. Wiem, że mama zamykała przede mną wszelkie tłuszcze i to na klucz. Na trzeci dzień, przyszły mnie odwiedzić moje koleżanki z Liceum - Stasia Chodorowska, Bożena Darlak, lecz nie mogłem z nimi rozmawiać, one to widziały. Po pewnym czasie powiedziały mi, że wyglądałem strasznie.

Rodzice przypomnieli mi, że należy zgłosić swój przyjazd w UB. Trudno. Musiałem się wybrać do tego wilczego gniazda, które mieściło się zaraz za płotem. Strażnik w bramie przyjął mnie ostrym "gdzie", odpowiedziałem, że zgłaszam swój przyjazd z ZSRR. "No to idźcie na górę, pokój nr 3". Pukam, usłyszałem ostre "wejść". Na pytanie - "co chcecie" - odpowiedziałem, że powróciłem z ZSRR i mam obowiązek zameldować się u was. Za stołem siedział oficer. Jego władczy, ostry głos powiadomił mnie: wy wróciliście trzy dni temu, no i dlaczego to zaraz pan akowiec, nie zgłosił się w urzędzie. Ja was mogę za to zamknąć. Pomyślałem, że tak. Oni przecież byli panami życia i śmierci. Byłem w tym samym pokoju, gdzie dokładnie 13 listopada 1944 roku, przesłuchiowano mnie, gdzie pierwszy raz na swojej skórze, poczułem rękę ubowskiego kata. Mimo strachu jaki powrócił, opanowałem się, pomału podniosłem nogawkę spodni i pokazałem mu nogę obandażowaną, przez którą przesiąkała krew z ropą. Powiedziałem: "najpierw musiałem być u lekarza, gdyż groziła mi gangrena". A on na to - "gówno wam będzie, należało uciąć i koniec". Uśmiechnął się ze swojego żartu i wygonił mnie do domu zaznaczając, że jak mnie będzie potrzebował to wie, gdzie mieszkam. Pomyślałem sobie, że nasza znajomość będzie trwać, nie wiadomo tylko, jak długo. No i trwała dosyć długo. Na koniec zaznaczył, że lepiej by było, gdybym milczał i nie opowiadał, gdzie byłem i co widziałem, bo "my potrafimy każdemu zamknąć usta". Tak, to rzeczywiście była jedyna prawda.

Po przyjeździe do domu, opowiedziałem rodzicom jak mnie to przyjęło. Uświadomiłem sobie, że nie będę miał łatwego życia, dokąd będzie istniał ten socjalizm. Jeżeli wtedy ktoś by mi powiedział, że doczekam jego końca, to bym go wyśmiał.

Czekał mnie jeszcze jeden bardzo przykry obowiązek. Musiałem pójść do Krystyny, do Weryni i opowiedzieć o tragicznej śmierci Tośka, dlaczego nie przeżył. Zastanawiałem się, jak ja to powiem, nie mogłem jakoś zna-

leżć słów. Idąc, już za miastem spotkałem Krystynę. Już z daleka widziałem, że płacze. Żegnaliśmy się - płakała, witaliśmy się - też ze łzami. Przestraszyłem się, że znowu coś się stało. Pytałem natarczywie dlaczego płacze. Powiedziała, że cieszy się z mojego powrotu, że wie co stało się z Tosiem. Rozmowa była chaotyczna. Ja nie mogłem zrozumieć, skąd wiedzą co się stało z Tośkiem. Dopiero po chwili opowiedziała mi, że jesienią 1945 roku, mama otrzymała list z Czechosłowacji od Czecha, który będąc w wojsku niemieckim, dostał się do niewoli rosyjskiej i jesienią 1945 roku został zwolniony do domu. Czech ten znał ojca i innych kolbuszowiaków. Gdy miał być zwolniony, ojciec prosił, aby napisał do domu o śmierci Tosia i innych z Kolbuszowej, podając mu adres swój i nazwiska tych, którzy przeżyli i zmarli. Prosił go aby wysłał kartkę, którą mu dał, pod wskazany adres. Czech dotrzymał słowa. Był to jedyny list - wiadomość, o niektórych kolbuszowiakach. Przy nazwiskach nieżyjących, był postawiony krzyżyk. Taką to drogą, Krystyna i jej mama dowiedziały się o śmierci Tosia, z którą nie mogły się pogodzić. Ja, niestety, musiałem opowiedzieć szczegóły o śmierci Tosia, co też było dla mnie bardzo przykre.

Pierwszy miesiąc pobytu w domu zleciał mi na leczeniu odmrożonych nóg. Pomału rany goiły się, no i ja też wracałem do zdrowia i równowagi. Krystyna chodziła do liceum, spotykaliśmy się często.

Następnym transportem, chyba 28 lutego, powrócili z obozu następni kolbuszowiacy. Również powróciła nasza koleżanka Marysia Dudzińska, która w obozie tak intensywnie nas dożywiała i dzięki niej, mogliśmy jakoś lepiej przetrwać. W tych warunkach była to dla nas kwestia życia. Krystyna namawiała mnie, abym powrócił do liceum mimo, że lekarz zabronił mi przynajmniej przez okres pół roku uczyć się twierdząc, że mózg nie wytrzyma. Należało go najpierw zregenerować jak i cały organizm. Zaraz po przyjeździe z obozu, ważyłem tylko 32 kg ale już po dwóch miesiącach aż 55 kg (moja normalna waga to 76 kg).

Posłuchałem Krystynę i zacząłem się uczyć. Chciałem koniecznie skończyć tę czwartą klasę gimnazjum, którą zacząłem jeszcze przed aresztowaniem. Krystyna chodziła do klasy IV normalnej, ja natomiast kończyłem IV-tą klasę, systemem skróconym. Poszło nas czworo "łagierników" do liceum: Marysia Dudzińska, Zenek Waligóra, Włodek Maciąg i ja.

Mimo zakazów lekarza, naukę rozpocząłem w kwietniu 1946 roku. Grono profesorskie było wspaniałe. Traktowano nas trochę ulgowo, wszyscy koledzy młodszy patrzyli na nas z szacunkiem, a myśmy byli z tego powodu, trochę zarozumiali. Ja wtedy miałem już 23 lata. Ciągle nie mogłem sobie uświadomić, że jestem wolny, i tak podświadomie, idąc ulicą zawsze oglądałem się. Było to przyzwyczajenie z obozu, gdzie trzeba było zawsze uważać, aby nie wychylić się z szeregu idąc do pracy, bo można było to przypłacić życiem. Było kilka takich wypadków.

Teraz z Krystyną widywałem się często. Spotykaliśmy się u Marysi

Dudzińskiej. To była wspaniała koleżanka i u niej w domu, uzupełnialiśmy zaległości z IV-tej klasy.

Zbliżał się pierwszy maj. Całe Liceum miało brać masowy udział w pochodzie. Przygotowywano transparenty i czerwone szturmówki. Ja ciągle myślałem, jak się wymigać od tej komedii komunistycznej. Udało się. Pomogło mi w tym samo UB. Już 28 kwietnia, rozpoczęły się egzaminy -mała matura. Pamiętam doskonale, że było to duże przeżycie. Najpierw rozpoczęły się egzaminy pisemne. Ostatniego kwietnia 1946 roku, po lekcjach jak zwykle przyszedłem do domu. Potem byłem u Marysi Dudzińskiej. Wieczorem jak zwykle położyłem się spać. Nagle w nocy - była północ - usłyszałem mocne bicie do drzwi wejściowych i potężny głos - "otwierać natychmiast - urząd bezpieczeństwa". Zerwałem się jak i moi rodzice, podszedłem do drzwi, otworzyłem i w progu ukazał się ubowiec, trzymając w obu rękach rewolwery. Za nim stało dwóch następnych oprawców. W międzyczasie, wstał mój ojciec i też wyszedł z pokoju do tych nocnych gości. W tym momencie uświadomiłem sobie, że zacznie się nowa tragedia. Jeden z ubowców rozkazującym głosem powiedział do mnie - "ubierajcie się szybko, pójście z nami". Ojciec próbował coś oponować, ale jeden z nich krzyknął na niego, żeby był cicho. Zaprowadzono mnie do UB. Chyba do tej samej piwnicy, co 13-go listopada 1944 roku. Za jakieś pół godziny, zaprowadzono mnie na przesłuchanie. Za stołem siedział jakiś cywil. Po spisaniu personaliów, zrobił mi wykład na temat zbrodniczej działalności AK i na końcu powiedział: "mówię wam po to, żebyście sobie nareszcie uświadomili w jakie gówno żeście wleźli. My możemy wam to wszystko skreślić, ale trzeba z nami współpracować". Momentalnie sobie uświadomiłem, dokąd zdąży. Zacząłem mu tłumaczyć, że jestem chory, pokazałem mu moje jeszcze ciągle ropiejące rany na nogach i w końcu wytłumaczyłem mu, że tam wyleczyli mnie zupełnie z polityki i za nic w świecie, nie chcę mieć z nią nic wspólnego. A on dalej swoje - "chodźcie do liceum, to przecież wiecie co tam się dzieje, co mówią, to moglibyście nam niejedno powiedzieć. O - podpiszcie tę kartkę i zaraz pójście do domu". Ja odpowiedziałem: "nie". "No to będziecie siedzieć". Trudno, odpowiedziałem. Rano zaprowadzono mnie do aresztu, koło budynku starego sądu - dzisiejszy szpital sztucznej nerki. W tej celi, do której mnie wsadzono, był już mój ojciec, Julek Chodkiewicz, kpt. Niezgoda i inni. Było nas wszystkich piętnastu. Jak zobaczyłem ojca, to uświadomiłem sobie, że aresztowano go za to, że ja nie podpisałem współpracy. Poszliśmy w kątek celi i po cichu opowiedziałem mu, dlaczego tu jest. Liczyli, że ja zmięknę. Ojciec powiedział mi, że nie wolno ustępować. Ojciec miał przy sobie parę złotych i zaraz uruchomiliśmy pocztę. Strażnik był dobrym znajomym ojca. Poprosiłem go, że ojciec chce z nim porozmawiać, trochę się kręcił, ale w końcu wywołał ojca na dyżurkę i tam już wszystko załatwili. Za jakąś godzinę, strażnik wywołał ojca i po chwili tata przyniósł okazałą paczkę jedzenia. Rozpoczęliśmy ucztowanie, nawet znalazła się flaszką, z której skorzystał

też strażnik. Wszyscy pojedli i samopoczucie poprawiło się. Pan Niezgoda zaczął opowiadać anegdotki, no i czas leciał. Nawet zaczęliśmy śpiewać, no i strażnik musiał nas uspokajać. Cela była dosyć duża, zaścielona słomą na której spaliśmy. I tak przeszły trzy dni. W czwartym dniu, strażnik wywołał mnie i powiedział mi, że jestem wolny i mogę iść do domu. Byłem zdumiony. Zapytałem go, co będzie z moim ojcem. On nie wiedział. Była chyba godzina dziewiąta, jak przyszedłem do domu. Mama kazała mi iść zaraz do szkoły, gdyż były już u nas koleżanki i pytały się o mnie. Pomyślałem, że pewno szkoła interweniowała w mojej sprawie i istotnie tak było, jak się później okazało. W gimnazjum zgotowano mi owację. Grono profesorskie bardzo mi współczuło, no a mnie było trochę głupio. Ostatecznie, nic się nie stało. Pani profesor Garbacikowa, wzięła mnie na bok i zapytała czy mogę zdawać małą maturę, czy moje nerwy nie są nadszarpnięte. Ja odpowiedziałem, że muszę przecież zdawać, bo w końcu nigdy jej nie zdam, gdyż zawsze coś przeszkodzi. Egzamin przeszedł dobrze. Komisja potraktowała mnie ulgowo, ze względu na te wydarzenia. Pani prof. Garbacikowa nawet zastanawiała się, czy pytać mnie z historii, właściwie to była rozmowa, a nie egzamin. To był wspaniały pedagog. Na jej lekcjach zawsze był spokój, wszyscy z zainteresowaniem słuchali wykładów, a co najważniejsze nikt nie odważył się rozrabiać (była siostrą Edwarda Halki - żołnierza AK Obwodu Kolbuszowa, dowódcy oddziału specjalnego BIP, ps. "Lot" w placówce Majdan Królewski, więźnia łagrów Borowicze - Swierdłowski, wrócił w 1947 roku).

Po dwóch dniach powrócił do domu mój ojciec. Tłumaczyli mu aby syn zastanowił się nad ich propozycją. Jak się potem okazało, to UB izolowało nas wszystkich na czas, przed i po pierwszym maja, jako element wywrotowy.

Po zdaniu małej matury siedziałem w domu. Coraz częściej chodziłem do Weryni do Krychy. Nasza znajomość powoli przerodziła się w głębsze uczucie, ale uzgodniliśmy, że pobierzemy się dopiero po powrocie ojca Krystyny z łagru.

Czas leciał nam szybko, były wakacje, często chodziliśmy razem do Marysi Dudzińskiej, gdzie wspominaliśmy te straszne i ciężkie chwile, jakie przeżyliśmy w łagrach ZSRR. Tak naprawdę, to trudno było samemu uwierzyć w to, co sami przeszliśmy. Ja sam miałem wątpliwości, czy dałbym wiarę temu wszystkiemu, gdyby mi ktoś to opowiadał. Myśmy poznali komunizm od tej prawdziwej strony i nie mogę zrozumieć, dlaczego miliony ludzi na świecie, poza samą Rosją, uwierzyły tej diabelskiej propagandzie. Stalin był chyba największym geniuszem zła, dużo gorszym od Hitlera.

Nadchodził dzień 22-gi lipca, święto naszej narodowej niewoli. Spodziewałem się, że znowu zostanę izolowany przez UB, jako element wywrotowy. No i tak się stało. Tym razem siedziałem już około dwóch tygodni. Propozycje były te same, no bo nic innego nie mogli wymyślić. Ja sobie z tego nic nie robiłem, no i w końcu zwolnili mnie. Uświadomiłem sobie, że

taka sytuacja trwać dłużej nie może. Uzgodniliśmy razem z Krystyną, że muszę się usunąć na pewien czas z Kolbuszowej. Dostałem się na 6-tygodniowy kurs brakarzy wełny, lnu i konopi. Po jego skończeniu, miałem zapewnioną pracę w spółdzielczości. O nauce na razie nie było mowy, dopiero w 1965 roku zdałem maturę. Z kursu wróciłem do domu pod koniec września. Zbliżało się święto czerwonej rewolucji w październiku. Tak przez skórę czułem, że znowu będą mnie chcieli zamknąć, a tu od 1 listopada miałem zacząć pracować. Zaryzykowałem. Nic nikomu nie mówiąc, dzień przed świętem, zgłosiłem się w UB. Mój stały opiekun, jak mnie zobaczył, to na chwilę odjęło mu mowę. Potem wybuchnął: "co wy tu robicie", ja odpowiedziałem, że zgłaszam się, abyście mnie zamknęli, bo po co macie przychodzić w nocy, szkoda nocy przecież. Po moim wystąpieniu, mój prześladowca patrzył na mnie, jak na wariata i nagle wrzasnął: "Strażnik! wyrzucić go za bramę" - co się natychmiast stało. Słyszałem, jak na korytarzu operował wyszukaną łaciną, - widocznie był "wykształcony", no i na tym się skończyło.

Wtedy mnie nie zamknęli. Po przyjeździe do domu, opowiedziałem to rodzicom. Ojciec powiedział mi, że dotąd będę ryzykował, aż na dobre wpadnę. Tak po zastanowieniu się, to nie było mądre, no ale ze względu na wiek, można wybaczyć. Po tym wystąpieniu, już nie zamykano mnie. Zacząłem pracować w Gorlicach. Do Kolbuszowej przyjeżdżałem raz w miesiącu, odwiedzić rodziców i Krystynę. W listopadzie 1947 roku, powrócił z łagru ojciec Krystyny. Wcześniej ustaliliśmy z Krystyną, że pobierzemy się w sierpniu 1948 roku.

Po powrocie ojca Krystyny, zaraz przyjechałem z Gorlic. Chciałem koniecznie zapytać go o wiele spraw związanych z pobytem w obozie Borowicze, a potem w Swierdłowsku. Krystyna uprzedziła ojca, o naszych wspólnych zamiarach, bo przy pierwszym spotkaniu, przywitał mnie bardzo serdecznie i powiedział, że jest zadowolony z takiego obrotu spraw, gdyż jako "sybirak", mogę zostać jego zięciem. Przecież wiedział dobrze, że z jego synem Teodorem przyjaźniliśmy się w czasie konspiracji i później w łagrze. Przy wspólnej rozmowie, nie obeszło się bez płaczu i smutnych wspomnień. Mama Krystyny miała żal do swego męża, że nie potrafił uratować Tośka i przez resztę życia, stale mu to wypominała, choć naprawdę nie było w tym jego winy. Tosiek nie chciał być razem z ojcem, by nie mieć lepiej, jak jego koledzy. Po prostu zmarł na skutek ciężkiej pracy i głodu. To samo groziło każdemu z nas, ale byliśmy bardziej odporni psychicznie, kradliśmy co się dało, a on tego nie potrafił.

Ojciec Krystyny opowiadał szczegółowo, o co był pytany w śledztwie. Do AK nie przyznawał się, ale to go nie usprawiedliwiało, bo i tak mu nie wierzono. Natomiast bardzo szczegółowo, rozpytywali go o wystąpienie na *zjeździe* w Lublinie. On dalej twierdził, że takie samo zdanie ma i teraz, że nie należało wybierać nowych władz dopóki prezes Mikołajczyk nie przyjedzie z Londynu i sam nie złoży mandatu. Również dalej uważa, że

Lwów i ziemie wschodnie, powinny należeć do Polski. Już na pierwszym przesłuchaniu powiedziano mi, że pojedzie tam, gdzie odechce mu się na zawsze Mikołajczyka i Lwowa. Potwierdził również to, że prosił zwolnionego wcześniej Czecha, o przekazanie listu do domu z wiadomością o nim, Tośku i innych kolbuszowiakach. Ojciec przyjechał bardzo wycieńczony, ważył 35 kg. Do żadnej pracy już nigdy nie powrócił, ale z polityki nie zrezygnował i nieraz miał z tego powodu wiele kłopotu. Pod koniec lat 60-tych, doznał paraliżu, ale jakoś wyszedł z tego. W 1977 roku zmarł nagle, na wylew krwi do mózgu.

W 1948 roku powróciłem z Gorlic do Kolbuszowej, pracując w spółdzielczości. W tym też roku ożeniłem się z Krystyną - siostrą Teodora i zamieszkałem w Weryni.

Przez 45 lat rządów komunistycznych, nie miałem łatwego życia. Byłem pod ciągłą obserwacją, ze strony władz politycznych. Należałem do ludzi nieposłusznych reżimowi, nie krępowałem się i nieraz głośno mówiłem, co się mi nie podoba. Pracowałem zawsze na najgorszych stanowiskach, słabo płatnych, a nawet nie mogłem w Kolbuszowej dostać pracy. Władze polityczne próbowały kilkakrotnie, zwerbować mnie do partii, obiecując lepszą pracę, ale jakoś nie zdołali mnie przekonać. Doczekałem się roku 1989, kiedy runął cały potężny ustrój komunistyczny. Wszystkich ogarnęła euforia i radość. Niestety - z czasem okazało się, że przedwcześnie, bowiem nawyki i przyzwyczajenia nabyte w czasach komunistycznych, nie zostały wyeliminowane z natury Polaków, czego dowodem są ostatnie wydarzenia w naszej Ojczyźnie.

Chciałbym te moje smutne wspomnienia, zakończyć bardziej optymistycznym akcentem.

Otóż, grupa więźniów "Borowlczaii" na ogólnopolskim zjeździe w Gdyni w 1992 roku, utworzyła przy Związku Sybiraków w Sopocie, Związek, który przyjął nazwę "Środowisko Borowiczan". Głównym zadaniem "Środowiska" było odtworzenie tragicznej historii obozów, oraz utrwalenie pamięci kolegów spoczywających w dalekiej obcej ziemi. Cel ten został osiągnięty, dzięki ofiarności żyjących kolegów i sponsorów. Władze miasta Borowicze, przychylnie ustosunkowały się do tej inicjatywy i pomogły w odbudowaniu symbolicznego cmentarza.

W dniu 30 lipca 1993 roku, grupa żyjących łagierników, ich rodziny oraz przedstawiciele władz państwowych, pod przewodnictwem wspaniałego organizatora p. Romana Bara z Sopotu, wyjechały do Borowicz na poświęcenie cmentarza. Został on usytuowany w Jogle, w jednym z obozów Zespołu Borowicze. Uroczystość wypadła imponująco i była unikalna, bowiem po raz pierwszy, uczczono pamięć żołnierzy AK - ofiar stalinowskiego totalitaryzmu. Satysfakcją było dla wszystkich, którzy 50 lat temu, cierpieli głód i poniewierkę w tych obozach, gdy przedstawiciele władz rosyjskich przemawiając podkreślali, że odpowiedzialność za zbrodnie

dokonane na Polakach, spadła na wszystkich Rosjan i dlatego proszą Polaków o wybaczenie.

Środowisko Borowiczan w czasie swej działalności, uczciło wiele miejsc pamięci na terenie Polski, wmurowując tablice pamiątkowe. Choć wielu członków Związku odeszło na wieczną wartę, pozostali dalej organizują spotkania i patriotyczne uroczystości. Jednak największą satysfakcją, było wybudowanie cmentarza dla naszych kolegów AK-owców, którzy nie szczędzili życia dla Ojczyzny, a dziś pozostali na zawsze w dalekiej obcej ziemi. Życzyłbym wszystkim młodym ludziom, by nigdy nie musieli przeżywać takich cierpień, jakie było udziałem naszego pokolenia.



Autor (pierwszy od prawej) przed głazem - pomnikiem, poświęconym więźniom wywiezionym do Borowicz i Swierdlowska - żołnierzom Armii Krajowej, ufundowanym przez Borowiczan i rodziny. Warszawa 1996 r.



Poświęcenie tablicy pamiątkowej w Bakończycach. Przemyśl - wrzesień 1996 r. - skąd w 1944 r. żołnierze Armii Krajowej z terenu południowej Polski zostali wywiezieni do łagrów ZSRR.



Delegacja "Borowiczan" - Jogła 1993 r.



Msza Święta przy symbolicznym grobie żołnierzy AK - Jogła 1993 r.



Pomnik - głaz poświęcony zmarłym żołnierzom AK - Jogła 1993 r.